

~ PRAWDZIWE HISTORIE ~

SHMUEL DAVID

PIES
KOMENDANTA



BUKOWY LAS

– Możesz nam powiedzieć, jeśli coś się wydarzyło. Może pomogę?

– Sasiadka z góry się przewróciła – wymamrotał Tom, prawie nie poruszając wargami.

– A co to ma do ciebie? – zapytała Eleanor.

– Dingo ją potracił i jest mi głupio, okej? – Łzy popłynęły mu po policzkach.

– To na pewno nie twoja wina. Wypadki chodzą po ludziach. Może ona nawet się na ciebie nie gniewa.

– Ale może się gniewa, bo Dingo to mój pies, a ja go nie powstrzymałem.

– Uspokój się, Tom – powiedziała matka i pogłaskała go delikatnie po ramieniu. – Jeśli chcesz, możesz jej posłać kwiaty, gdy wróci do domu.

Gdy następnego ranka Tom zadzwonił do Amosa, by zapytać o Ninę, tamten sprawiał wrażenie zmarzwionego.

– Wczoraj ją operowano. Ma złamane biodro – wyjaśnił. – Musi poleżeć tu na ortopedii jeszcze kilka dni, a potem czeka ją jeszcze półtora tygodnia rekonwalescencji.

– Jak się teraz czuje? – zapytał Tom.

– Znieczulenie nadal działa, ale gdy zejdzie, pewnie znów ją będzie bolało.

– Tak bardzo, bardzo mi przykro przez to, co się stało. Mój pies był cały rozemocjonowany, przemknął obok niej i zupełnie nie uważał. Ledwie ją musnął.

– Rozumiem – powiedział Amos, a Tomowi nieco ulżyło. – Wypadki chodzą po ludziach.

– Kiedy mogę ją odwiedzić? – zapytał Tom.

– Zobaczmy, jak się będzie jutro czuła. Dzisiaj jeszcze nie wolno jej przyjmować gości.

– Okej, to może jutro. Zadzwonię zapytać, czy można.

Cały dzień w szkole Tom się zadręczał. Myślał sobie, że gdyby mógł porozmawiać ze staruszką i wytłumaczyć, co się stało, a ona by mu wybaczyła, poczulby się lepiej. Nauczyciel geografii zwrócił uwagę, że Tom wygląda na rozkojarzonego i nie śledzi przebiegu lekcji.

– Błądzisz gdzieś dzisiaj myślami – złażał chłopaka, ale Tom nie mógł się skoncentrować. Myślał o tym, co czeka go dziś po południu. Pierwszy raz pójdzie do klubu koszykówki w domu kultury. Od kilku dni nie mógł się doczekać. Zdaniem ojca Tom powinien mieć okazję uprawiać ukochany sport, może to złagodzi jego samotność w wielkim mieście.

Po południu zadzwonił znów do Amosa, który zapewnił, że Ninie się poprawia. Tom może ją odwiedzić następnego dnia, pod warunkiem że przyjdzie z osobą dorosłą, bo Amos nie był pewien, czy wpuszczą go samego na oddział. Ale chłopiec nalegał, by zobaczyć się z Niną jak najszybciej, a skoro jego ojciec pracował w szpitalu, to na pewno coś wykombinują.

Następnego dnia ojciec czekał w głównym wejściu do szpitala, skąd zaprowadził Toma na oddział ortopedyczny. Była to pierwsza wizyta chłopaka w tym szpitalu, jeśli nie liczyć gabinetu ojca, i zaskoczyło go, jak długie są tam korytarze. Jakby błędził w labiryncie, pomyślał sobie, gdy wreszcie dotarli do podwójnych drzwi oddziału.

Lekarz, który im otworzył, powiedział do Toma:

– Musisz wiedzieć, że na tym oddziale mamy mniej pacjentów, którzy leżą w łózkach w piżamach. Wielu ma gips aż po szyję, zobaczysz też pewnie kończyny zawieszane z obciążeniami na rozmaitych konstrukcjach.

Młoda pielęgniarka, która podeszła do Toma i jego ojca, zapytała, czy są członkami rodziny Niny, zaraz jednak sama sobie udzieliła odpowiedzi:

– Na pewno jesteś jej wnukiem, prawda? Widać rodzinne podobieństwo.

Ojciec Toma prędko sprostował, że nie należą do rodziny, lecz są życzliwymi sąsiadami.

Gdy przechodząc korytarzem, zaglądali do sal, widzieli wiele zawieszonych w powietrzu nóg, i Tom nagle się przestraszył, że Nina też tak się będzie prezentować. Gdy jednak dotarli do sali numer dwieście osiemnaście, z ulgą się przekonał, że staruszka leży pod kocem z nadrukiem ze szpitalnym logo. Jej lewa dłoń spoczywała na kocu, a do wiotkiej ręki przytwierdzono kroplówkę. Bandaż mocno przytrzymał igłę w skórze. Jej twarz prezentowała się dobrze, Nina uśmiechnęła się nawet do Toma.

– Oto i ów młodzieniec. Wiedziałałam, że się pojawi – powiedziała cicho. – Tak smętnie wczoraj wyglądałeś. Nawet mnie się zrobiło ciębie żal.

– Tak, okropnie się czułem, kiedy się przewróciłaś. W dodatku to wszystko przez Dinga. To dzikie zwierzę.

– Oj tak, dzikie – zaśmiała się Nina.

– Mnie także bardzo przykro z powodu tego, co się stało – dodał ojciec Toma. – Jestem Reuben, ojciec Toma, mieszkamy po sąsiedzku na czwartym piętrze.

– Tak, widziałam was, kiedy się wprowadzaliście. Taki byleś zalatany, że nie mieliśmy okazji porządnie się poznać.

– Tom to bardzo dobry chłopak, ale ogromnie kocha psy. Traktuje je jak członków rodziny.

– Ja też kocham psy – wyznała Nina. – Mam nawet ciekawą opowieść o psie, który mnie uratował. Nie potrafił mnie – zaznaczyła z uśmiechem. – Amos już ją zna. – Odwróciła się w stronę swojego syna. – To ta historia o Ziggym, jak go nazywałam, to był dog niemiecki należący do komendanta obozu. Cóż, tak czy owak, długo by opowiadać. Może kiedyś ktoś spisze tę historię.

– Tom świetnie pisze. W sumie tylko z tego zbiera w szkole celujące stopnie: z wypracowań – wspomniał Reuben, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. – Proszę wybaczyć, ale pracuję tu w szpitalu, w księgowości. Oderwałem się od zajęć w środku dnia i muszę wracać – dodał. – Miło było cię spotkać i przekonać się, że dobrze się czujesz. Mam nadzieję, że poznamy się lepiej w przyjemniejszych okolicznościach – powiedział na odchodnym.

– Jeszcze zanim wydarzyła się historia z psem, który mnie ocalił – zwróciła się Nina do Toma – zawsze naprawdę kochałam psy. Od małości – podkreśliła. – Teraz opowiem ci o moim pierwszym psie, albo właściwie możesz sobie o nim poczytać, bo opisałam go w swoim notatniku. To wspomnienia z mojego życia w Warszawie. Masz, może kiedyś o tym napiszesz.

Wyjęła z torby stary brązowy notes. Zapisany był ciasnym, pochyłym pismem. Poprosiła Toma, by czytał na głos.

Byłam dzieckiem. Wszyscy wołali na mnie Nina, oprócz mojej mamy i piastunki Ireny, które nazywały mnie Nineczką. Wiedliśmy wówczas dobre życie, wtedy, przed wojną. Komu w ogóle wojna przyszłaby do głowy? Byłam jedynaczką i skupiała się na mnie pełna uwaga rodziców i piastunki, więc dosyć mnie rozpieszczano. Żyliśmy sobie we czwórkę w wielkim, pięknym mieszkaniu przy ulicy Hipotecznej w Warszawie.

Latem, gdy miałam osiem i pół roku, całą rodziną pojechaliśmy na wakacje w lasy na północ od Warszawy, do miejscowości turystycznej, która nazywała się Urle. Gościliśmy w pensjonacie „Higiena” prowadzonym przez niejaką Helenę. Miała pięknego psa, który wabił się Lalus. Od razu się z nim ogromnie polubiliśmy. Bawiłam się z nim i przemierzaliśmy razem leśne szlaki. Gdy ojciec zobaczył, jak bardzo go kocham, obiecał, że da mi pieska.

Potem każdego dnia, kiedy wracałam ze szkoły, czekałam, by się przekonać, czy tata dotrzyma słowa – może pies będzie na mnie czekał, gdy dotrę do domu. Lecz mijały kolejne dni, a psa nie było, i codziennie spotykał mnie zawód.

Nie cierpię, gdy nie dotrzymuje się obietnic, ale ufałam ojcu, który aż do tej pory spełnił wszystkie przyrzeczenia, jakie mi złożył. Tymczasem lato się skończyło i nastąpiła jesień, żółte liście sypały się z drzew i zrobiło się zimno, a ja nadal, dzień po dniu, czekałam na psa.

W owym czasie szczerze ufałam ludziom i wierzyłam im na słowo. Uwierzyłam też starej Cygance, chiromantce, do której zabrała mnie moja piastunka Irena. Wydarzyło się to podczas tych samych wakacji w Urlach. Wciąż

pamiętam tę wizytę. Naprzeciwko mnie siedziała bezzębna starucha z najbardziej pomarszczoną twarzą, jaką widziałam w życiu. Ujęła mnie za rękę, by odczytać z niej mój los, a gdy zobaczyła linię życia, zastygła. „Będziesz długo żyła, Nino”. Wiedziała nawet, jak się nazywam. Wszystko o mnie wiedziała. „Dożyjesz dziewięćdziesięciu trzech lat. Nieważne, jak złe i trudne przeżycia cię czekają, przetrwasz je wszystkie i dożyjesz dziewięćdziesięciu trzech lat”.

Nina rzuciła ze śmiechem:

– Ale troszkę się pomyliła. Niebawem skończę dziewięćdziesiąt cztery lata i wszyscy się boją, że nie dożyję, ale patrz, siedzę tu teraz i śmieję się razem z tobą. Aż do tej chwili w każdej sytuacji, gdy się zdawało, że przyszła na mnie kreska, a spotkało mnie takich wiele, zawsze przypominałam sobie tę obietnicę i czułam, że ktoś na górze nade mną czuwa.

Tom czytał dalej z notatnika Niny:

Od tamtych wakacji minął szmat czasu. Jesień przyszła i odeszła, nastąpiła zima. Przeminięło nawet Boże Narodzenie. W naszej rodzinie tradycyjnie kupowało się prezenty na Gwiazdkę.

Rodzina ojca była całkowicie zeświecczona, niemal całkowicie zasymilowana. Tata chodził do synagogi raz do roku na Jom Kipur, a i wtedy fatygował się wyłącznie przez wzgląd na moich dziadków od strony matki. Miał nawet własne miejsce w Wielkiej Synagodze w Warszawie. Ja też nie uczęszczałam do bożnicy. Poszłam może ze

dwa razy w życiu na Simchat Tora, radosną uroczystość, kiedy to tańczono z Torą i rozrzucano cukierki.

Tak czy siak, psa nadal nie było i obawiałam się, że może tato tak tylko powiedział i okaże się jedną z osób, które składają obietnice bez pokrycia. Lecz pewnego ranka obudziłam się w swoim przytulnym pokoju z lalkami poukładanymi równiutko na parapecie. Zza wciąż półprzykniętych powiek zobaczyłam, że za oknem śnieg pada łagodnie i zbiera się na gałęziach drzew. Czulałam, że ktoś mnie obserwuje, a kiedy otworzyłam oczy szerzej i ziewnęłam przeciągle, ujrzałam mamę siedzącą na skraju mojego łóżka i tatę, który stał obok niej, w rękę zaś trzymał małego pieska o białej sierści. Piesek miał dużą brązową łatę na głowie, obejmującą ucho, a na grzbiecie drugą, czarną. Myślałam, że mi się to śni. Krzyknęłam radośnie: „Tato! Mamo! Wierzyć się nie chce”. A potem dodałam rozemocjonowana: „Daj mi go, daj go potrzymać, tato, jaki on słodki”.

Wtedy mi się przypomniało, że właśnie są moje urodziny i kończę dziewięć lat.

W koszuli nocnej chwyciłam pieska oburącz i przycisnęłam mocno do piersi. Czulałam ciepło jego ciała i słodki zapach oddechu. Zawsze kochałam psy. Ciągle przyprowadzałam do domu przybłądy z ulicy, ale mama zawsze powtarzała, że teraz nie możemy ich zatrzymać. Tak bardzo pragnęłam mieć psa. A teraz pierwszy raz miałam własnego pieska, który będzie ze mną mieszkał, a ja będę go karmić i się nim opiekować.

Tata powiedział mi, że to foksterier szorstkowłosy, czyli angielski, i że ma szorstkie, kędzierzawe futro, inne

niż druga odmiana foksteriera. Nazwa tej rasy wzięła się stąd, że Brytyjczycy używali jej podczas polowań na lisy. Mój piesek miał cztery miesiące, więc nadal był szczeniakiem, i tata mówił, że musimy się nim opiekować jak dzieckiem.

– Kupiłem go od kolegi z pracy, który wraz z rodziną przeprowadza się do Ameryki – wyjaśnił tata.

– Wszyscy wyjeżdżają do Ameryki. Jakby tu było aż tak źle – rzuciła mama.

– Są tacy, którzy widzą, co się dzieje z Żydami w Niemczech. To może zdarzyć się niedługo również tutaj, dlatego są niespokojni – odparł tata. Potem dodał: – Póki co nie musimy się bać. Mam dobrą pracę i niczego nam nie brakuje.

Położyłam pieska ostrożnie na podłodze. Widziałam, jak na mnie patrzy, przekrzywiając łepkę z boku na bok, jak gdyby nasłuchiwał czegoś swoimi wielkimi uszami.

– Jak go nazwiesz? – zapytał mnie tata.

Zastanowiłam się chwilę, potem odpowiedziałam:

– Irys. Nazwę go Irys. – Przypomniała mi się książka o mitologii greckiej leżąca na mojej nocnej szafce i bogini tęczy, o której czytałam poprzedniej nocy. Uznałam, że to dla niego idealne imię.

Irys wyrósł na ładnego psa, który uwielbiał ludzi, zwłaszcza dzieci, i towarzyszył mi wszędzie, oprócz szkoły i sytuacji, gdy wychodziłam z moją najlepszą przyjaciółką Barbarą, na przykład na spektakl albo do cyrku. Później, gdy Polacy zaczęli nas szykanować, czułam się bezpieczniej, idąc z Irysem niż sama, mimo że nie był szczególnie groźnym psem. W sumie to był wręcz nieco tchórzliwy, bo kiedy zaczęły się brutalne bombardowania Warszawy

przez niemieckie samoloty, zawsze uciekał i krył się pod moim łóżkiem. Może sądził, że go ochronię.

Nigdy nie zapomnę dnia, gdy rozpoczęły się bombardowania. Dzień wcześniej poszłam z mamą kupić przybory szkolne do piątej klasy. Wybrałyśmy zeszyty, ołówki, linijkę: wszystko, czego potrzebowałam. Lecz następnego dnia zamiast iść do szkoły chowaliśmy się pod łóżkami i stołami. Tata został wcielony do polskiej armii, a Irena, moja polska piastunka, już dla nas nie pracowała. Przez wycie Irysa oraz moje wrzaski mama i jej siostra Ania odchodziły od zmysłów. Mama powiedziała, że lepiej będzie, jeśli zamieszkamy z babcią i dziadkiem na ulicy Pawiej. Tam i tak było więcej miejsca.

Irys słyszał świst bomb i wylł, nim spadały. Pewnego dnia, gdy mama poszła nadać list do taty, który był w wojsku, rozległ się gwizd, Irys zaczął wyć, a ja krzyczeć, i ciocia Ania wyszła z kuchni, by mnie uciszyć. Okazało się to bardzo szczęśliwym zrzędzeniem losu, bo parę chwil później spadła bomba i wszystkie kuchnie po tej stronie budynku runęły jak kostki domina.

Później, kiedy mieszkaliśmy na ulicy Poznańskiej, w domu mojej drugiej babci, któregoś dnia wróciłam do domu i zauważyłam, że coś jest nie tak. Irys nie wyszedł się ze mną przywitać jak zawsze, nie skoczył na mnie, gdy tylko przestąpiłam próg. Bałam się, że coś mu się stało. Zobaczyłam, że mama i babcia są bardzo zasepione i wbijają wzrok w podłogę. Nie chciały mi popatrzeć w oczy, gdy krzyknęłam:

– Zabiłyście Irysa! Oddajcie mi go!

Mama wybuchnęła płaczem.

– Nie miałyśmy wyboru, Nineczko, musiałam – powiedziała. – Naraziłby nas na niebezpieczeństwo.

– Ale jak? Dlaczego? – wołałam. – Tak bardzo go kochałam, a jemu tak trudno było znosić wszystkie te eksplozje.

Mama powiedziała, że właśnie przez to, że nie mógł wytrzymać wybuchów, a my nie mogliśmy mu ich wytłumaczyć.

Wybiegłam na podwórze, gdzie spotkałam Janka, synka dozorca domu. Powiedział mi, że widział, co się stało. Mama poprosiła polskiego żołnierza, który był na podwórzu wraz z grupą innych, by zastrzelił psa. Parę minut później Janek usłyszał strzał.

Poprosiłam Janka o pomoc i razem zaciągnęliśmy Irysa w miejsce, gdzie do niedawna stał wysoki budynek – na rogu Alei Jerozolimskich i Poznańskiej – teraz zaś znajdował się tam potężny lej. Janek pomógł mi go pochować i nakryć dziurę wielkim kamieniem. Szczyrykiem wyżyłobił w kawałku drewna jego imię: „Irys”, ale nie wiedzieliśmy, czy umieścić tam krzyż, czy gwiazdę Dawida. Wiedziałam tylko, że pierwszy raz pojęłam, co ludzie mają na myśli, gdy mówią o punkcie bez odrotu.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

GDY W PIEKLE OBOZU POJAWIA SIĘ NADZIEJA...

Polska, rok 1943. Trwa wojna. Młoda Żydówka Nina trafia wraz z matką do obozu pracy w Skarżysku-Kamiennej, gdzie znajduje się fabryka produkująca broń dla armii niemieckiej. Warunki w obozie są potworne i mama Niny wkrótce umiera. Dziewczyna zyskuje jednak wyjątkowego sojusznika – Ziggy'ego, psa doktora Rosta, komendanta decydującego o tym, kto przeżyje, a kto umrze... Zmotywowana silną wolą życia i nieoczekiwaną pomocą, Nina zrobi wszystko, by przetrwać.

Nr 21000123

ISBN 978-83-8074-548-3



9 788380 745483



bukowylas.pl

Cena: 36,90 zł